

emocje



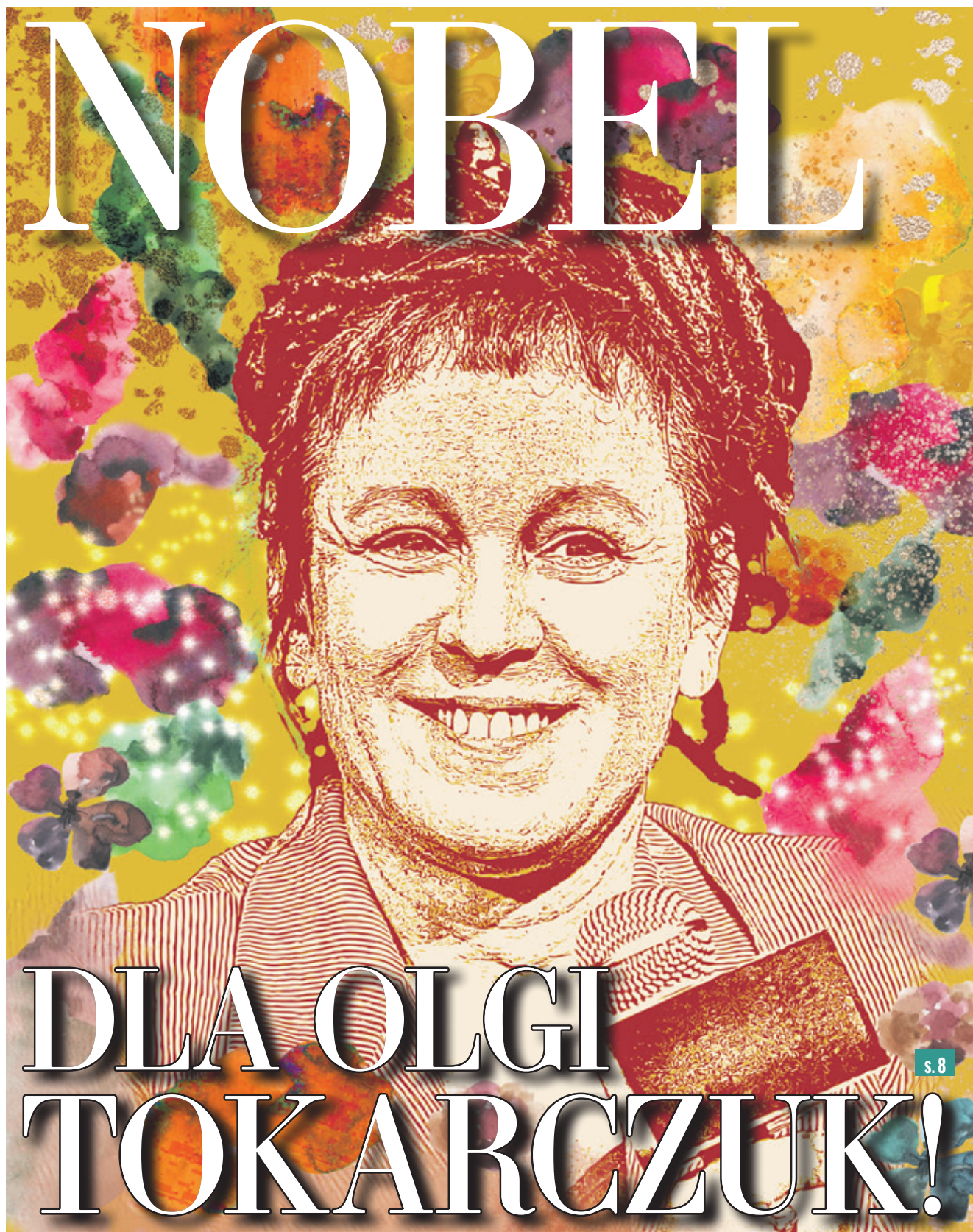
Gwiazdor cichej godności s. 4

magazyn kulturalny RADIA WROCLAW KULTURA

ISSN 2544-1787

egzemplarz bezpłatny

jesień 2019



NOBEL

DLA OLGI TOKARCZUK!

s. 8

foto: TOMASZ GOLLA

3

sposoby
jak odbierać
Radio Wrocław
Kultura

1



poprzez darmową
aplikację mobilną



2

tradycyjny odbiornik
(koniecznie z cyfrowym
systemem DAB+)

3



na stronie
www.radiowroclawkultura.pl
(tutaj można nas także
zobaczyć w wysokiej jakości
transmisji wideo)

Adam Sypuła: Powrót do domu



Jeden z najciekawszych męskich głosów w naszym mieście i jeden z najlepszych autorów tekstów. Adama Sypułę znamy jako frontmana takich formacji jak Ctrl-Alt-Del, Because, Falda Vida czy PRL Jam, gościnnie pojawił się też na płycie Hello My Sunshine. Teraz postanowił pójść własną, osobistą drogą.

Ewa Zając: Przed Tobą bardzo ważne wydarzenie.

Adam Sypuła: Pewnie, że ważne. I długo, zbyt długo, wyczekiwane, przeżywane. Jestem coraz bliżej oficjalnego wydania „Człowieka na Tasmie”, który jest moim pełnometrażowym debiutem solo. Przez ostatnie długie miesiące robiłem i nadal robię tyle, ile potrafię, żeby ten album zdobył jak najszersze grono odbiorców. To płyta napisana, nagrana i wyprodukowana całkowicie od początku do końca przeze mnie. I całkowicie po polsku. Wracam do domu.

Czyli?

No tak. To duży dom, stary i nowy, wiele pokoi, piwnic, strychów, rur w ścianach, wiele gatunków muzycznych, wiele różnych wrażliwości. Europa środkowa między Niemką i Ukrainą.

ką. I wszyscy pod tym samym dachem. W tekstach najważniejsze jest oko.

?

Oko, które puszczam do słuchacza. Treść jest naczyniem, miejscem, obiektem użyteczności publicznej. Proszę przyjdź, posłuchaj, w skupieniu lub bez, zamieszkać, bądź, tak jak chcesz. Ten album ma w sobie ruch i architekturę miasta, centrum i przedmieścia, wysokie i niskie budynki, parki, place, ronda. Piosenki potrafią się zatrzymać, żeby za chwilę ruszyć, tak jak to się dzieje w ruchu miejskim.

Z kim nagrałeś tę płytę, kto Ci pomógł?

To była bardzo samodzielna i samotna praca. Większość ścieżek nagrałem sam w kilku improwizowanych studiach nagraniowych, które sam budowałem, burzyłem i przenosiłem. Nazwiska wszystkich współautorów tekstów, muzyki i przyjaciół biorących udział w sesjach znajdują się pod tytułami piosenek. Mam nadzieję, że o nikim nie zapomnę. Dziękuję ludziom, których cierpliwość przez kilka lat wystawiałem na próbę, próbując zamknąć ten muzyczny rozdział. I tym, którzy mnie wspierali. Wielcy jesteście.

A skąd brałeś inspiracje, czy są wykonawcy, głosy, poeci, autorzy tekstów, którzy dają ci coś w rodzaju natchnienia?

Pewnie, że są, jest i było ich wielu. Starych jak świat i młodziutkich jak wiosenny szczypiorek. Ludzie słowa, czynu, obrazu, dźwięku, historie małe i wielkie, dzieła znane i nie. Nazwiska bardzo znane i nic nikomu nie mówiące. Osoby, których nigdy nie spotkałem i tacy, których znam od wieków. Lyse konie, białe kruki, czarne owce, istne zoo inspiracji. Trudno mi dać krótką odpowiedź. „Człowiek na Tasmie” to ładnych parę lat doświadczeń, natchnień, ośnień, spotkań. Nie ma łatwych odpowiedzi, jednoznacznych odniesień. Jestem wdzięczny wszystkim tym ludziom, sprawom i wydarzeniom za to, że zaistniały, że byliśmy i jesteśmy w jednym spektrum. Nigdy nie przestanę dziękować.



Kanon polskiej poezji najnowszej

Na tegoroczną Stację Literaturę w Stroniu Śląskim-Siennej szef festiwalu Artur Burszta wymyślił m.in. stworzenie kanonu polskich książek poetyckich 30-lecia. 1989-2019. Jasna cezura. Jurorzy (Anna Kałuża, Karol Maliszewski, Joanna Mueller, Joanna Orska, Jakub Skurtys) przyznali otwarcie, że interesowały ich językowe, mowowe innowacje. Więc awangarda została doceniona, a tzw. klasyka pominięta z góry, programowo. Jest to zatem bardziej kanon poezji innowacyjnej, progresywnej, nie polskiej poezji w ogóle. I cenne źródło lekturowych inspiracji. Swoją listę – głosząc internetowo – wyłonili również czytelnicy. Różnice niewielkie. To może być, niestety, objawem wąskiego zainteresowania poezją. Kim jest czytelnik poezji dzisiaj – to wielkie pytanie. Dla tych, co ciągle czytają, lubią poezję, czyli dla niektórych, jak pisała Szymborska, oba kanony:

KANON 30-LECIA CZYTELNIKÓW:

Justyna BARGIELSKA „Dwa fiaty”
Konrad GÓRA „Requiem dla Saddama Husajna i inne wiersze dla ubogich duchem”
Roman HONET „alicja”
Krystyna MIŁOBĘDZKA „Imiesłowy”
Marta PODGÓRNIK „Paradiso”
Tadeusz RÓŻEWICZ „Płaskorzeźba”
Robert RYBICKI „Dar Meneli”
Andrzej SOSNOWSKI „Życie na Korei”
Marcin ŚWIETLIICKI „Zimne kraje”
Eugeniusz TKACZYŃSKI-DYCKI „Nenia i inne wiersze”

KANON JURORÓW:

Justyna BARGIELSKA „Dwa fiaty”
Darek FOKS „Wiersze o fryzjerach”
Konrad GÓRA „Requiem dla Saddama Husajna i inne wiersze dla ubogich duchem”
Krystyna MIŁOBĘDZKA „Imiesłowy”
Marta PODGÓRNIK „Paradiso”
Piotr SOMMER „Dni i noce”
Andrzej SOSNOWSKI „Życie na Korei”
Marcin ŚWIETLIICKI „Zimne kraje”
Eugeniusz TKACZYŃSKI-DYCKI „Nenia i inne wiersze”
Bohdan ZADURA „Prześwietlone zdjęcia”

PROGRAM RADIA WROCLAW KULTURA

PNONIEDZIAŁEK	WTOREK	ŚRODA	CZWARTEK	PIĄTEK	SOBOTA	NIEDZIELA
0:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA	0:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA	0:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA	0:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA	0:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA	0:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA	0:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA
5:00 GRAMY PO POLSKU	5:00 GRAMY PO POLSKU	5:00 GRAMY PO POLSKU	5:00 GRAMY PO POLSKU	5:00 GRAMY PO POLSKU	5:00 GRAMY PO POLSKU	8:00 POWIEŚĆ (powtórka)
9:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA	9:00 KULTURA DAB+ MUZYKA (powtórka)	9:00 KULTURA DAB+ TEATR (powtórka)	9:00 KULTURA DAB+ SZTUKI WIZUALNE (powtórka)	9:00 KULTURA DAB+ LITERATURA (powtórka)	9:00 KULTURA DAB+ FILM i SERIAL (powtórka)	9:00 NASZA HISTORIA (powtórka)
15:00 NASZA HISTORIA	12:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA	12:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA	12:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA	12:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA	12:00 AKADEMIA MŁODYCH RADIOWCÓW (audycja dla dzieci)	10:00 REPORTAŻ (powtórka)
16:00 KULTURA DAB+ MUZYKA (goście, recenzje, komentarze)	15:00 REPORTAŻ	15:00 NASZA MOWA (poradnik językowy)	15:00 POWIEŚĆ (książka w wersji audio)	15:00 REPORTAŻ	13:00 MUZYCZNE MIASTO (powtórka)	10:30 NASZA MOWA (powtórka)
19:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA	16:00 KULTURA DAB+ TEATR (goście, recenzje, komentarze)	16:00 KULTURA DAB+ SZTUKI WIZUALNE	16:00 KULTURA DAB+ LITERATURA (goście, recenzje, komentarze)	16:00 KULTURA DAB+ FILM i SERIAL (goście, recenzje, komentarze)	15:00 ŚCIANA DŹWIĘKU (powtórka)	11:00 ZAMIESZANI W KULTURĘ (wywiady)
20:00 KONCERT	19:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA	19:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA	19:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA	19:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA	17:00 NIE BYŁO GRANE (powtórka)	12:00 STUDIO 202
21:00 MUZYCZNE MIASTO (muzyka z Wrocławia)	20:00 WIECZÓR Z KULTURĄ	20:00 VARIACJE (muzyka klasyczna)	20:00 WIECZÓR Z KULTURĄ	20:00 MUZYCZNE ARCHIWUM	19:00 VARIACJE (powtórka)	13:00 MUZYKA LEGENDARNA (powtórka)
	21:00 ŚCIANA DŹWIĘKU (muzyka rockowa)	21:00 NIE BYŁO GRANE (muzyczne nowości)	21:00 MUZYKA LEGENDARNA	21:00 STREFA POŁUDNIA (muzyka z USA)	20:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA	15:00 STREFA POŁUDNIA (powtórka)
						17:00 DŹWIĘKI ŚWIATA (muzyka różnych kontynentów)
						19:00 ODZYSKANE ŹRÓDŁA (polski folk)
						20:00 MUZYKA DAB+ PLAYLISTA

PO PASACH DO HISTORII

O okładce albumu „Abbey Road” można mówić godzinami. Teraz, przy okazji rocznicowej reedycji płyty, znowu jest okazja. Pięćdziesiąt lat minęło, a na ulice, przy której mieszczą się studia, gdzie The Beatles nagrywali swoje pożegnalne arcydzieło, i gdzie wykonane zostało okładkowe zdjęcie, wciąż ciągną pielgrzymki fanów z całego świata, chcących zrobić sobie zdjęcie, bądź chociaż poczuć magię miejsca.

Na miejscu przekonują się, że ową „magię” mogą sobie co najwyżej wyobrazić, bo samo studio (jego front) oraz legendarna „zebra” wyglądają z bliska tak zwyczajnie, że aż trudno uwierzyć, by mogło się tam zdarzyć cokolwiek o historycznym znaczeniu. A jednak to właśnie w tym miejscu pewnego upalnego dnia czterech muzyków największego zespołu świata „przeszło po pasach prosto do historii”, jak ujął to niedawno autor jednej z beatlesowskich książek.

Był późny ranek 8 sierpnia 1969 roku. Pora wybrana została ze względu na odpowiednie światło, ale była idealna także z innego powodu. Ruch w okolicy był wtedy prawie żaden. Na okładce widzimy raptem paru gapiów (jednego na prawym chodniku, czterech przy wejściu na teren studia). Nie załapał się do kadru policjant, który pilnował na miejscu, by wszystko odbyło się bez przeszkód, ani Linda McCartney, która dokumentowała całe zdarzenie własnym aparatem. No i, oczywiście, sam fotograf, bo autorem tego najważniejszego wykonanego wtedy zdjęcia był Ian Macmillan, współpracujący wcześniej z Johnem Lennonem i Yoko Ono. Pomysł należał jednak do Paula McCartneya. Gdy wszyscy dotarli już na miejsce, Macmillan wszedł na drabinkę (zwróćmy uwagę, że zdjęcie nie jest robione z poziomu ulicy) i dał znać muzykom, by przechodzili tam i z powrotem, z jednego chodnika na drugi, a sam zwalniał migawkę. Co ciekawe, zrobił jedynie sześć zdjęć. Na trzech muzycy idą z prawej na lewą stronę, na trzech pozostałych odwrotnie. Wybór tego właściwego, „okładkowego”, zdjęcia nie nastąpił trudności, bo tylko na piątym nogi każdego z Beatlesów układają się w idealne odwrócone „V”.

Gdy fotografia znalazła się w końcu na okładce, a płyta trafiła do sklepów nikt nie zdawał sobie sprawy, że patrzy na dzieło ikoniczne. Tym bardziej nikt nie mógł przewidzieć jakich ta prosta (choć efektowna) fotografia doczeka się interpretacji. Miała być więc dowodem na, krążące od ja-

kiegoś czasu, pogłoski o śmierci Paula McCartneya. Artysta miał rzekomo zginąć w 1966 roku w wypadku samochodowym, a obecnie zastępował go sobowtór odpowiednio „podrasowany” przez chirurgów plastycznych.

Okazało się więc, że uwagę niektórych zwrócił Volkswagen „garbus” zaparkowany po lewej stronie ulicy. A dokładniej mówiąc: jego tablica rejestracyjna. Cóż więc znaczący symbole LMW 28 IF? No więc, LMW to był miał być skrót od „Linda McCartney Widow” (Linda McCartney Wdowa), a 28 IF, że jej mąż, gdyby („if”) żył, miałby 28 lat. Zwracano uwagę, że McCartney jest jedynym Beatlesem, który nie ma na nogach butów (swoją drogą na dwóch niewykorzystanych zdjęciach jest w sandałach). Poza tym, twierdzono, coś jest ewidentnie nie tak, skoro leworęczny muzyk trzyma papierosa w prawej ręce. To, co widać na zdjęciu, to więc tak naprawdę ceremonia pogrzebowa, której przewodni „kapłan” Lennon, za nim kroczy „grabarz” Ringo. Jakkolwiek wydawałoby się to nieprawdopodobne, ta teoria znalazła wielu zwolenników. Pracownicy beatlesowskiego biura odbierali setki telefonów.

Do tej teorii nawiązywali później także Beatlesi. Lennon, skłócony z McCartneyem, sugerując jego artystyczne wypalenie, śpiewał w 1971 roku, w piosence „How Do You Sleep?": „Te świrny miały rację, że nie żyjesz”. Sam McCartney dał się ponownie sfotografować w tym samym miejscu na potrzeby okładki koncertowego albumu, który zatytułował „Paul Is Live” („Paul żyje”). Ale na pasach fotografowali się i inni artyści, Red Hot Chili Peppers wydali nawet EP-kę zatytułowaną „Abbey Road”, gdzie przechodzili przez ulicę w beatlesowskich pozach, tyle, że nago. Mieli na sobie jedynie skarpety widoczne w miejscach, w których się zwykle skarpet nie nosi.

Mówiąc o beatlesowskiej okładce, zwróćmy jeszcze uwagę na fakt, że nie ma tam żadnych napisów, ani tytułu, ani nazwy zespołu. Samo zdjęcie. Płyty w swoich fizycznych postaciach zostawiają po sobie nie tylko muzykę. Pytanie, co zostawiają po sobie serwisy streamingowe?



Powiedzieli w Radiu Wrocław Kultura

100 LAT Biblioteki Narodowej

Biblioteka Narodowa to jedna z najstarszych w Europie serii literackich. Zaczęto ją wydawać sto lat temu, w latach 1930. Po placjce oficyny z Krakowa została przejęta przez Wydawnictwo Ossolineum. W 1947 roku ukazała się pierwsza książka z Wrocławiem jako miejscem wydania. Dziś bogaty zbiór serii liczy 608 tomów, za chwilę pojawią się kolejne. Pierwszym były „Treny” Jana Kochanowskiego ze wstępem Tadeusza Sinka, ostatni – do momentu wydania tego numeru Emocji – to tom z dramatami Norwida w opracowaniu Kazimierza Brauna. Od 2014 roku Biblioteka Narodowa ukazuje się również w formie e-booków. Obecnie redaktorem Biblioteki Narodowej jest profesor Stanisław Beres, redaktorem naczelnym wydawnictwa Dariusz Sośnicki.

– Powiem bardzo osobiście, że jestem dumna, iż mamy w naszej kulturze coś tak wspaniałego i doniosłego jak Biblioteka Narodowa – pisze w katalogu jubileuszowym **Olga Tokarczuk**.



Stanisław Beres

Dariusz Sośnicki

– I gdyby z jakichś powodów wysyłano mnie na bezludną wyspę, poprosiłabym sprytnie o wszystkie jej publikacje. Miałabym dość lektury do końca życia.

Stanisław Beres: Zadaniem Biblioteki Narodowej było i jest publikowanie najcenniejszych utworów literatury polskiej i ob-

cej w opracowaniu ekspertów, z użyciem najnowszej wiedzy. To są ważne słowa. Na ogół ta seria trzymała pion, choć zdarzały się różne zachwiania, głównie dotyczące lat 1940. czy 50., czyli epoki stalinowskiej. Nie ma na to dokumentów, ale prawdopodobnie bywało tak, że ktoś dzwonił z odpowiedniego urzędu i mówił: słuchajcie, za dużo tych kosmopolitów z okresu międzywojennego, potrzebujemy Majakowskiego czy Broniewskiego.

Dariusz Sośnicki: Od początku był taki zamysł, by tę serię skierować nie tylko do specjalistów.

O poszczególnych dziełach mieli pisać najwybitniejsi znawcy, ale pisać tak, żeby czytelnik mniej wykształcony, ale czytelnik z ambicjami mógł kupić, przeczytać i zrozumieć wstęp, opracowanie. I to się udaje przez sto lat, może z jakimiś drobnymi wyjątkami w różnych okresach.

Powiedzieli w Radiu Wrocław Kultura

Ja i moja sztuka to sztuka

foto: NATALIA LACH-LACHOWICZ

W Muzeum Współczesnym Wrocław trwa wystawa poświęcona Alfonsowi Mazurkiewiczowi, jednej z najważniejszych postaci wrocławskiej sztuki awangardowej XX wieku, współtwórcy Grupy X, ceniowemu pedagogowi i mistrzowi pokoleń artystów. Kuratorem jest dyrektor muzeum **Andrzej Jarosz:**

Mazurkiewicz urodził się w 1922 roku, a zmarł przedwcześnie, bo już w 1975. To nie jest bardzo obszerna twórczość (ponad trzysta obrazów), ale tak bogata, że można się w nią zagłębić i wiele ciekawego odkryć. Trudnym zadaniem był wybór na wystawę takich dzieł, które stanowiłyby esencję nie tylko wizualną, ale dotyczącą również samej postaci, człowieka, artysty. Problemy, jakie przewijają się przez tę wystawę to: poszukiwanie własnego sty-



tu, opanowanie świata poprzez widzenie go w jakiejś syntezie geometrycznej, zagłębienie się w sprawy materii i filozofii gestów, co było charakterystyczne dla połowy lat sześćdziesiątych, i w końcu odnalezienie

tego, co najważniejsze, a więc pytania o siebie, sens twórczości, życia.

Wystawa pt. „Ja i moja sztuka to sztuka” potrwa do 27 stycznia.



Natsuki Katayama jest solistką baletu Opery Wrocławskiej, laureatką tegorocznych Emocji – nagród Radia Wrocław Kultura. Poprzedni sezon był dla niej najważniejszym ze wszystkich dotąd spędzonych we Wrocławiu. Zatańczyła „Giselle” – partię-marzenie tancerki na całym świecie, była niepokojącą Panią Kapulet („Romeo i Julia”), znakomitą bohaterką spektaklu, w którym tańczyła do muzyki Chopina. Charyzmatyczna osobowość, elektryzująca artystka. Wrocław ma szczęście, że ma Natsuki Katayamę.

Grzegorz Chojnowski: Co oznacza imię Natsuki po japońsku?
Natsuki Katayama: 'Natsu' to lato. Urodziłam się w czerwcu, moi rodzice chcieli, żebym była piękna i zdrowa, ich nadzieja to 'ki'. Stąd Natsuki.

Skąd Pani pochodzi?
Z południa Japonii, z regionu Shiga.

Jak długo mieszka Pani we Wrocławiu?
To mój siódmy rok.

Jak to się stało, że się tutaj Pani znalazła? Po przyjeździe do Europy spędziła Pani dwa lata w Antwerpii.
Uczyłam się tam w szkole baletowej. Potem jeździłam po całej Europie, jak wszyscy tancerze, żeby dostać angaż. We Wrocławiu podpisałam kontrakt. Od razu spodobało mi się także miasto, już gdy przyjechałam na audycję, zaczęłam myśleć, że może będę tu mogła pracować.

Zacząła Pani tańczyć w wieku trzech lat?
Tak.

BALET TO SZCZĘŚCIE

Jakie jest to pierwsze wspomnienie związane z tańcem?
Pamiętam pierwszy występ, miałam pięć lat. Wielka sala, tłum ludzi, którzy mnie oglądają i oklaskują. Duże nerwy, ale też ekscytacja. Od tamtej chwili pokochałam balet.

Młode dziewczynie nie jest łatwo opuścić rodzinę i przenieść się tysiące kilometrów do Europy. Ale to jedyna droga, aby stać się lepszą tancerką?
W Japonii balet jest popularny, wielu młodych ludzi uczy się tańca, ale nie mamy takich szkół jak w Europie, nie ma stałych zespołów. Nie mamy tradycji oglądania spektakli. We Wrocławiu – na przykład na „Giselle” – każdy wieczór jest wyprzedany, mnóstwo widzów przychodzi. W Japonii nielawo wypełnić salę tytułem baletowym, drogie są bilety, tancerze muszą mieć drugi zawód, żeby się utrzymać. A ja chciałam być tancerką na pełny etat.

Alain Bernard, szwajcarski tancerz i choreograf, powiedział mi kiedyś, że młodzi ludzie mają trudniej niż kiedyś. Nieważne, jak byliby utalentowani, naprawdę trudno dostać pracę. A ta praca jest w dodatku ciężka, trzeba wiele ćwiczyć. Nie miała Pani momentów zwątpienia?
Miałam. Już w pierwszym roku pracy we Wrocławiu. Zawsze marzyłam o tym, by zostać zawodową tancerką, a kiedy już nią zostałam, straciłam cel, nie

wiedziałam, co dalej. Nowy kraj, nowi ludzie, nielawny polski język, samotność, tęsknota za domem – wszystko to sprawiło, że pomyślałam o rezygnacji. Drugi raz zdarzyło się to rok temu. Już zdecydowałam, że wyjeżdżam, ale nasza kierowniczka baletu dała mi szansę zatańczenia „Giselle”. To było moje marzenie, znów poczułam, że chcę tańczyć.

Co jest najtrudniejsze w balecie? Widziałem na Pani Instagramie kilka zdjęć po kontuzjach...
To spory problem, bo czasem musimy tańczyć z bólem, a kiedy jest ból, nie możemy tego robić tak jak chcemy. Trzeba też ćwiczyć codziennie. Tydzień wolnego sprawia, że ciało się zmienia. Trudno się wraca do formy po odpoczynku, zwłaszcza po wacacjach, ale one są konieczne.

Mamy gwiazdy baletu pochodzące z Japonii. Jak Shoko Nakamura czy wcześniej Miyako Yoshida. Pani jest gwiazdą dla wielu. Kogo Pani szczególnie ceni?
Shoko Nakamura. W pierwszym roku mojej pracy we Wrocławiu odbyła się tu gala baletowa, w której występowała. Obserwowałam ją, byłam tuż obok podczas rozgrzewki. To serdeczna osoba, świetna tancerka, tak jak jej mąż Wiesław Dudek. Oboje byli wspaniali.

Czym jest dla pani balet?
Życiem. Kiedy miałam ten kryzys, rok temu, nie czułam, że



foto: MAREK GROTOWSKI

balet to dla mnie zajęcie na całe życie – jako tancerki czy pedagoga – ale po „Giselle” wszystko się zmieniło.

Vladimir Malakhov, który był przewodniczącym jury konkursu Nuriejewa, na którym zdobyła Pani trzecią nagrodę, powiedział mi, że dla niego

tańiec na scenie to święto. Dla mnie to bardziej szczęście. Moje szczęście. Zwłaszcza przy ukłonach czuję się jakbym miała latać. Gdy widzę, jak radośni są

widzowie, jestem szczęśliwa, bo swoim tańcem sprawiłam im tę radość.
Najważniejsza rola dotąd to

właśnie tytułowa Giselle? Zdecydowanie.

W „Giselle” mamy dwa oblicza klasycznego baletu: pierwsza część jest realistyczna, druga magiczna. Tańczyć Giselle to czysta przyjemność czy wyzwanie?

Oczywiście wyzwanie. Mam mocny charakter, bardziej pasuję do mnie czarne labędzie, nawet moja nauczycielka ze szkoły w Antwerpii mówiła, że Giselle to nie jest rola dla mnie, że jest zbyt romantyczna. Powiedziałam sobie wtedy: OK, ale w przyszłości zatańczę Giselle i powiadomię ją o tym. Kiedy próbowałyśmy, Ewa Glowacka przypominała mi, że tańczę Giselle, nie Kitri z „Don Kichota”, że powinien być bardziej delikatna, zwiewna. Drugi akt był szczególnym wyzwaniem.

Wcześniej była m.in. Pani Kapulet w „Romeo i Julii”. To również interesująca i wymagająca rola, nie tylko technicznie...

To prawda. Jacek Tyski, choreograf tego baletu, obsadził mnie w tej roli, żebym się przełamala, taka jest nasza kultura. Zresztą, wcześniej tańczyłam Micaelę w „Femme fatale”, gdzie mogłam być bardziej ekspresyjna. Po premierze bardzo chwalono moje aktorstwo, poczułam się pewniej. Pani Kapulet rozpacza w długiej solowej scenie po śmierci Tybalt i jest to inny rodzaj rozpacy niż ta po śmierci Julii. Tu robię to jako matka, tam jako kobieta po stracie kochanka. Dużo myślałam, przygotowując tę rolę.

Widziałem też Panią tańczącą jako Ona w „Wieczorze polskim”, balecie do koncertu Chopina. To też gesta, nielawna rola, jest Pani ciągle na scenie. Przez 35 minut się śmieję, płaczę, wściekam się, jestem rado-

sna, smutna, śpiewam. Technicznie ta rola również jest trudna, duet po solo, solo po duecie, z różnymi partnerami.

Jakie to doświadczenie: solista interpretujący muzykę napisaną dla pianisty-wirtuoza? Czy to specyficzny rodzaj tańca?

Pianistka gra swoją partię na żywo, w kanale z orkiestrą, i ja czuję, że trochę też tańczę dla niej. Po spektaklu pogratulowałyśmy sobie występów. Rzadko się zdarza taka sytuacja, solistka na scenie, solistka w orkiestrze. Znow mam szczęście, że tańczę tę rolę.

Czy istnieje duża różnica w tańczeniu do muzyki granej na żywo i tej granej z płyty? Zmiana, jaką mieliśmy w Operze Wrocławskiej, to duża zmiana dla publiczności, jak ją odczuwają tancerze?

Kiedy pierwszy raz tańczyliśmy „Dziadka do orzechów” z orkiestrą na żywo, od razu poczuliśmy się inaczej. Poczuliśmy energię od muzyków, nie tylko od widzów i od siebie – tancerzy. To wspaniale. Czasem bywają problemy z tempem, mimo to uwielbiam tańczyć z orkiestrą.

Kiedy dowiaduje się Pani, że ma zatańczyć nową rolę, jaki jest pierwszy etap pracy? Słuchanie muzyki?

Tak, najpierw jest muzyka, potem aktorstwo, emocje, na końcu technika, bo ją trzeba po prostu wyćwiczyć. Ćwiczę więc, szlifuję, żeby się techniką nie przejmować. Na scenie myślę o roli, o postaci.

Ogląda Pani nagrania w Internecie? Czasem tak, dużo oglądałam przed „Giselle”.

Która Giselle była najlepsza? Znakomita jest Mariana Nu-

nez, bardzo naturalna, wzruszyła mnie. Ale jej postać była inna od tej, jakiej chciały choreografki wrocławskiej „Giselle”. Oczywiście, nie kopiuje innych tancerek, oglądam, podpatruję, uczę się czegoś, ale kreuję własną bohaterkę.

Jest rola, którą chciałaby Pani szczególnie zatańczyć w przyszłości?

Uwielbiam rolę z „Korsarza”, a także „Śpiącą królową”. Nauczycielka w Japonii powiedziała mi, że królowa nie jest dla mnie. Zawsze gdy słyszę takie słowa, myślę: mogę to zrobić!

To świetne podejście. Nauczyła się Pani tego czy miała to zawsze? Chyba miałam to zawsze.

Nazywamy to charyzmą. Tak zresztą napisaliśmy na dyplomie: dla Natsuki Katayamy – elektryzującej primabaleriny, zadziwiającej tancerki techniką, sceniczną charyzmą. Chciałaby Pani zostać choreografką? Nie, choreografką nie.

Ale za to uczy Pani tańca. Lubię uczyć dzieci, młodych tancerzy, którzy kochają balet, sama się od nich uczę. Tej młodzieńczej miłości do tańca, oddania, świeżości, której z wiekiem zaczyna nam brakować.



(NIE) ZAPOMNIANI GREGORY PECK

To świetnie, że nowohoryzontowy American Film Festival (w tym roku już dziesiąta edycja) nie tylko niestrudzenie prezentuje nowości niekomercyjnego kina zza oceanu, ale też chętnie przypomina tzw. evergreeny. Tym razem padło na Gregory'ego Pecka, gwiazdora z tych najlepszych lat Hollywoodu Selznicka, Hustona, Wylera czy Hitchcocka. Doskonale! Zwłaszcza że młoda widownia w Polsce nie bardzo o tej postaci pamięta. A starsza? Czy zdajemy sobie sprawę, jak niezwykłym był aktorem i człowiekiem?

Playhouse, stworzył jeden z najwspanialszych ekranowych duetów miłosnych. Jakimś cudem nikomu jeszcze nie przyszło do głowy zrobienie remake'u, ale – znając filmowy biznes – to chyba tylko, niestety, kwestia czasu. Oscara



Gregory Peck zdobył jednak za rolę prawnika, który broni na amerykańskim Południu w latach 1930. czarnoskórego mężczyzny oskarżonego o gwałt na białej kobiecie. „Zabić drożdża” to też dziś klasyk, zrealizowany na podstawie głośnej powieści Harper Lee. W ogóle aktor miał szczęście do ról, także tych z wielkiej literatury. Był przecież na przykład demonicznym, ale i ludzkim zarazem kapitanem Ahabem w ekranizacji Melvillowego „Moby Dicka”. Encyklopedia Britannica pisze o Pecku: przystojny, imponujący, o głębokim, łagodnym głosie, najbardziej znany z kreowania ludzi uczciwych, prawych. Ale potrafił wcielić się również w czarne charaktery. Przypomnijcie sobie tego zmysłowego kilerka z westernu „Pojeździec w słońcu” albo „Chłopców z Brazylia”, gdzie zagrał nazistowskiego zbrodniarza. – Zrobiłem to, bo pragnąłem współpracy z Laurencem Olivierem – przyznawał aktor, udzielający się w ciągu całego życia charytatywnie, proekologicznie, politycznie (Nixon wpisał go na listę swych wrogów). Nekrolog po śmierci Pecka w 2003 roku New York Times zatytułował:

„Gwiazdor cichej godności”. Rzezywiście, walczył o słuszne sprawy, lecz bez rozgłosu. Gdy odbierał honorowego Oscara właśnie za działalność humanitarną, skromnie mówił, że po prostu robi to, w co wierzy. Słynne są jego słowa: Ciężkie czasy mijają, twarzą ludzi nie. Pod koniec życia jeździł po Stanach z czymś w rodzaju one-man show, „A Conversation with Gregory Peck”. Opowiadał o swoim życiu, rolach, odpowiadał na pytania publiczności. Można to zobaczyć w filmie dokumentalnym, pokazującym zresztą w Cannes. Przytaczam uroczą anegdotę o tym, jak poznał drugą (i ostatnią) żonę Veronique Passani, z którą po raz pierwszy zetknął się podczas pracy nad „Rzymskimi wakacjami”. Studio umówiło go na wywiad dla France Soir w Paryżu, uprzedzając, że będzie miał do czynienia z młodą, piękną i mądrą dziennikarką. Pół roku później pan Peck dzwoni do mademoiselle Passani do redakcji. Proponuje lunch. Słyszysz ciszę. Ponawia zaproszenie i znowu wyczuwa wahanie.

W końcu dziennikarka się zgadza, idą na wyciągi konne. Tak zaczyna się znajomość. Po kilku tygodniach, na jednej z kolejnych randek Gregory pyta: – Dlaczego nie mogłaś się zdecydować na spotkanie ze mną? O co chodziło? Miałas chłopaka, nie lubisz aktorów

filmowych? Veronique: – Nie chciałam Ci tego mówić. Wiesz, w ten dzień, który zapropnowałaś, miałam umówiony wywiad z Albertem Schweitzerem w mieszkaniu Jean-Paula Sartre'a. Peck: – To zdaje się, że dokonałaś dobrego wyboru, wychodząc ze mną.



40 LAT LEOPOLDINUM



40 lat to piękny wiek. Jeszcze młodzi, a już doświadczeni, jeszcze piękni, a już wiedzą, a o co chodzi w muzyce.

W tym roku Wrocławską Orkiestra Kameralna (dziś NFM Orkiestra) Leopoldinum skończyła 40 lat. Powstała w 1979 roku, dzięki inicjatywie trzech muzyków orkiestry Filharmonii Wrocławskiej. Marek Bartkiewicz, Wojciech Greń i Tomasz Orzech poszli do swego ówczesnego dyrektora Tadeusza Strugały, który nie powiedział nie. Na tym pierwszym koncercie, w kwietniu, pu-

bliczność usłyszała utwory Mozarta, Haydna i włoskiego kompozytora Domenica Cimarosa. A gdyby szukać wspólnych punktów, mianowników dla 40-letniej historii tej orkiestry, znalazłbyśmy wiele. Choćby to, że zawsze dyrektorem artystycznym zostawał skrzypek, wybitny (Karl Teutsch, Zbigniew Szuffat, Jan Stanienda, Ernst Kovacic, Joseph Swensen). No dobrze, wyjątek musi być. Hartmut Rohde to altowiolista. Przy okazji: altowiolistą Leopoldinum i inspektorem orkiestry był przez lata Konstanty Poźniak, który

opowiedział nam pyszną anegdotę: Kwartet smyczkowy jest jak butelka dobrego wina, gdzie butelką jest wiolonczela, I skrzypce to etykieta, a II skrzypce i altówka to tej butelki zawartość. A tak naprawdę wspólnie dla wszystkich Leopoldinczyków pozostał skrzypek, wybitny (Karl Teutsch, Zbigniew Szuffat, Jan Stanienda, Ernst Kovacic, Joseph Swensen). No dobrze, wyjątek musi być. Hartmut Rohde to altowiolista. Przy okazji: altowiolistą Leopoldinum i inspektorem orkiestry był przez lata Konstanty Poźniak, który

opowiedział nam pyszną anegdotę: Kwartet smyczkowy jest jak butelka dobrego wina, gdzie butelką jest wiolonczela, I skrzypce to etykieta, a II skrzypce i altówka to tej butelki zawartość. A tak naprawdę wspólnie dla wszystkich Leopoldinczyków pozostał skrzypek, wybitny (Karl Teutsch, Zbigniew Szuffat, Jan Stanienda, Ernst Kovacic, Joseph Swensen). No dobrze, wyjątek musi być. Hartmut Rohde to altowiolista. Przy okazji: altowiolistą Leopoldinum i inspektorem orkiestry był przez lata Konstanty Poźniak, który

stian Danowicz (laureat Emocji Radia Wrocław Kultura) zadebiutuje jako kompozytor swym Concerto grosso. W styczniu utwór Kurta Weilla „Siędem grzechów głównych” muzyki wykonają wraz ze słynną szwedzką mezzosopranistką Anne Sofie von Otter. Zespół ma też od tego roku nowych członków: Magdalene Ziarkowską-Kołącką i Adama Kocha Christensena. Tylko trzeciego Fryderyka z rzędu nie będzie, bo... Leopoldinum od nagrodzonej „Supernovej” (nagrania wraz z Atom String Quartet) nie wydało dotąd nowego albumu.

Piękno i mądrość – chwila z Julią Holter

Brzmieniowe beauty and brains – tak piszą o amerykańskiej kompozytorce, pianistce i wokalistce krytycy muzyczni. Piosenki jej autorstwa, zawarte na „Have You in My Wilderness” wzbudziły zachwyt na całym świecie. Julia Holter wciąż jednak poszukuje nowych form wyrazu. Wróciła więc do sprawdzonego sposobu komponowania, odrzucając tradycyjną piosenkową strukturę na rzecz improwizowania w domowej sypialni. Efekt? Recenzenci Guardian, The Wire, Noisey, The Quietus czy serwisu Pitchfork byli zgodni, zaliczając „Aviary” do grona najlepszych płyt 2018 r. Podobnie uczyniliśmy i my w muzycznym podsumowaniu ubiegłego roku. Od tego wątku rozpocząłem rozmowę z artystką, która końcem czerwca wystąpiła na białostockim Halfway Festivalu.

Michał Kwiatkowski: Na „Aviary” zrezygnowałaś z formuły tradycyjnej piosenki. Postanowiłaś zastosować sprawdzoną receptę – nieskrępowanych eksperymentów z własnym głosem, instrumentami klawiszowymi, by zobaczyć, gdzie to wszystko tym razem Cię zaprowadzi? Znudziły Ci się typowe piosenki?

Julia Holter: Chciałam zrobić coś nowego, zając się rzeczami, o których myślałam już od dłuższego czasu. Tworzenie piosenek miało być radością. Z perspektywy czasu traktuję „Have You in My Wilderness” jako pewnego rodzaju projekt. Starałam się wejść w nieco tradycyjną piosenkową formułę, co dla mnie nie jest przecież czymś oczywistym. To przyniosło mi dużo frajdy, ale pracując nad „Aviary” chciałam podejść do tego materiału w inny niż poprzednio sposób.

Jakie było tło powstania tego albumu?

Przede wszystkim ważny był dźwięk. „Aviary” powstało w wyniku improwizacji i zabawy dźwiękami, z tego wyrosła każda kompozycja. To nie jest logiczna płyta, po wysłuchaniu której można powiedzieć o czym jest, jaką historię opowiada. Ważny był dźwięk. Dobór słów, pod kątem ich brzmienia był nawet ważniejszy niż to, co miały sobą przekazać.

Twoja najwspanialsza piosenka „Betsy on the Roof” powstała dość wcześnie, ale potrzebowałaś kilku lat, by ją ostatecznie ukształtować i zarejestrować w wersji, którą znamy z „Have You in My Wilderness”. Na „Aviary” podobna historia powtórzyła się z „Why Sad Song”. Kiedy wiesz, kiedy jesteś pewna,

że już czas, że piosenka jest skończona i możesz się nią podzielić?

Zapomniałaś o „I Would Rather See”, tę również wyciągnęłam po latach.



Sięgnęłam po nie w związku z brzmieniem całej płyty. „Aviary” jest bardzo intensywna. Chciałam wykorzystać te piosenki jako pewnego rodzaju bufor – chwilę uspokojenia pomiędzy kolejnymi fragmentami płyty, tak, by całość uzyskiwała potrzebną jej arytmia. Powód był też inny. Musiałam otrzymać zgodę twórców na ich użycie. „I Would Rather See” zawiera tekst, który jest tłumaczeniem Safony, dokonany przez Anne Carson. „Why Sad Song” to moja interpretacja utworu Ani Choy-

ing Drolmy i Steve’a Tibbettsa. Początkowo myślałam o włączeniu „Why Sad Song” na poprzednią płytę, ale nie do końca byłam do tego przekonana... Tu zdecydowanie bardziej pasuje. Czulałam, że to właściwy czas na wykorzystanie tych utworów. W wypadku „Why Sad Song” bałam się, że nie dostanę pozwolenia, a chciałam tego za wszelką cenę uniknąć, bo uwielbiam to nagranie i często sięgam po nie na koncertach.

Z Tybetu przenosimy się w inne rejony. Jak doszło do Twojej współpracy z The Orchestra of Syrian Musicians?

Wszystko wydarzyło się błyskawicznie. Byłam jedną z wielu osób zaangażowanych w ten projekt (Africa Express). Wydaje mi się, że zagrałam z nimi tylko dwa, a może trzy razy...? To grupa podróżujących muzyków, a ja zostałam zaproszona, aby przez moment pobyc z nimi na tym szlaku. Zawsze chciałam dowiedzieć się czegoś o muzyce arabskiej. Nadal chcę,

a współpraca z The Orchestra of Syrian Musicians pozwoliła mi na poszerzenie wiedzy o wykorzystywanych przez nich skalach. The Orchestra of Syrian Musicians to nie orkiestra sensu stricto, a grupa muzyków, którzy w wyniku wojny domowej opuścili Damaszek. Granie z nimi było dla mnie bardzo pobudzające. To doświadczenie, choć krótkie, na pewno zmieniło moje życie.

Chcesz dowiedzieć się czegoś o muzyce arabskiej, to już wiemy. W krótkiej perspektywie co jeszcze planujesz?

Chciałabym mieć więcej okazji do pracy nad muzyką filmową. Bardzo bym tego chciała. Pracuję teraz nad jedną ścieżką, a na koncie mam już ilustrację stworzoną na potrzeby produkcji filmowej („Bleed for This”) i telewizyjnej („Pure”). Mam nadzieję nadal rozwijać się na tym polu. Poza tym... Chciałabym poznać język arabski, poprawić swoje zdolności w hiszpańskim. I tak, w tym momencie to moje główne cele!

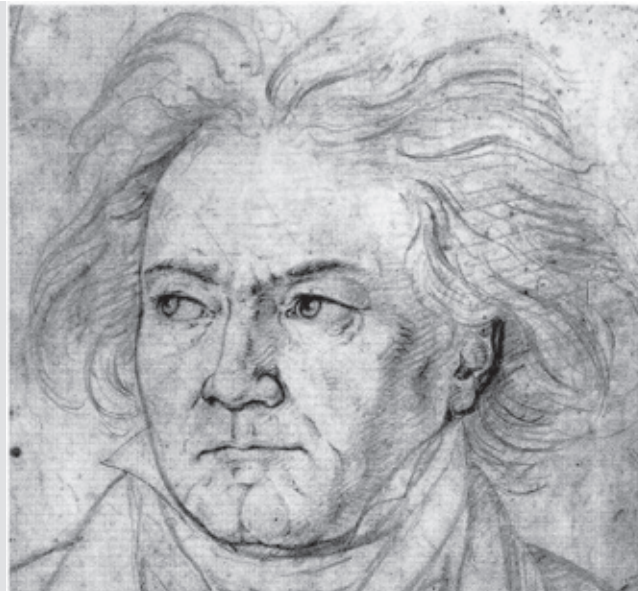


Michał Kwiatkowski
NIE BYŁO GRANE
środa, 21:00
sobota, 17:00

Wrocławski malarz portretuje Beethovena

200 lat temu, w 1819 roku, powstał jeden z najbardziej rozpowszechnionych portretów Beethovena. Za sprawą barona von Skrbenskigo, młody malarz August von Klöber (urodzony w Breslau w 1793), który studiował w Wiedniu, podjął się namalowania portretu kompozytora. Od malarza dowiadujemy się, że artysta został przedstawiony Beethovenowi w liście, odwiedził go w Mödling. Otrzymał pozwolenie. Kompozytor udzielał lekcji swemu siostrzeńcowi na pianoforte Broadwooda. Malarz był zaskoczony, że Beethoven korygował błędy chłopca, polecał mu powtarzanie niektórych

fragmentów, bo komunikacja z panem Ludwigiem odbywała się za pomocą kartek lub mówienia do trąbki, którą kompozytor miał w uchu (to były czasy postępującej coraz mocniej głuchoty). Beethoven stał się niepokojny, Klöber pracował już około trzech kwadransów, więc malarz postanowił przerwać i poprosić o pozwolenie przybycia nazajutrz. „Nie lubię długo pozować” – wyznał Beethoven. Wolął częściej a krócej. Panowie spotykali się także na promenadach (Mödling leży na południe od Wiednia, znane jest z zamku Liechtensteinów). Kiedy Beethoven zobaczył gotowy portret,



był zadowolony zwłaszcza z wizerunku włosów. Artyści dotąd malowali tak, że wyglądał na zbyt zadbanego, uczesanego. Klöber opisał swoje wrażenia na temat kompozytora tak:

„W Mödling Beethoven żył skromnie, skromna też była cała jego natura. Ubierał się w jasnoniebieski frak z żółtymi guzikami, białą kamizelkę i krawat. To modny strój, ale u Beethovena

zaniedbany. Jego cera była zdrowa, choć skóra nieco trądzikowa, włosy miały kolor lekko niebieskawej stali, która zmieniała już kolor z czarnego na szary. Oczy niebieskawo-szare i bardzo ożywione. Kiedy wiatr poddmuchiwał mu włosy, było w nim coś demonicznego. Jednak w przyjaznej rozmowie twarz stawała się łagodna i uprzejma, szczególnie gdy rozmowa go zadowoliła. Każdy nastrój duszy znajdował potężny wyraz w jego rysach”. Niestety, oryginalny obraz Klöbera się nie zachował. Był to portret pełnych rozmiarów z krajobrazem Mödling w tle. Uwzględniono na nim siostrzeńca Karla, spoczywającego pod drzewem. Kompozytor został przedstawiony z notatnikiem w rękę i ołówkiem. Na szczęście głowę odtworzono na litografii w pracowni Klöbera i taka wersja została szeroko skopiowana.

[Wg książki „Życie Ludwiga van Beethovena, autorstwa Alexandra Wheelocka Thayera]

Waldemar Kasta: Prosto w oczy

Gdyby zagrać w skojarzenia, to w przypadku bohatera tej rozmowy użylibyśmy haseł: rap, MMA, Wrocław. I wszystko jasne. 10 lat temu, po powrocie z Anglii, wydał solowy debiutancki album. 20 lat temu założył zespół K.A.S.T.A., współtworząc polską scenę hip-hopową.

Michał Kazulo: Jesteś człowiekiem z Wrocławia. Zastanawiam się, czy bywasz jeszcze na tzw. Trójkącie Bermudzkim.

Waldemar Kasta: Jestem bardzo sentymentalny. Zdarza mi się wsiąść na rower i pojechać tam, żeby tylko powspominać i pomarzyć. Rzadziej już może kogoś spotkać. To jest tak, że ja reprezentuję kulturę nizin społecznych i niektórzy z moich znajomych są już trudni do rozpoznania niestety. Rozmawiam za to z wykluczonymi, tak samo, jak z tymi, których poznałem na mocy tzw. popularności. To ludzie, którzy towarzyszyli mi w mojej podróży i aspirowali by do miana tzw. żuli. Nie ma to dla mnie znaczenia i dlatego mówią o mnie, że jestem swój chłop. Dla siebie nadal jestem Waldkiem i chciałbym, żeby tak pozostało.

Mówisz: nie miałem startu.

Bo to gówniany start. Trójkąt Bermudzki nie wybiera. Masz możliwości startu, gdy twoje otoczenie nie epatuje rozlicznymi patologiami lub jesteś pod kloszem – np. rodzice mogą pokierować twoim życiem. Tu masz do wyboru trzy, cztery rzeczy. Pierwsza to zabrać swoją latorośl jak najdalej. I ona jest najlepsza. Moi rodzice rozumieli, żeby stamtąd zni-



kać, bo inaczej będę młodocianym przestępcą. Natomiast to było z deszczu pod rynnę, bo z Trójkąta przeprowadziliśmy się na Kozanów, który był wtedy postkomunistycznym klockiem - blokowiskiem. Ono stworzyło nowy tygiel kulturowy, który musi się poukładać. Tam tej przemocy i patoli było wystarczająco dużo, żeby się w tym pogubić. Ja miałem w domu całkiem normalnie. W porównaniu z tym, co mieli moi znajomi, to ja byłem beneficjentem całkiem normalnego domu. Nie było za to perspektyw.

W jednym z wywiadów powiedziałeś też: „nie okazałem się bezimiennym ćpunem, o którym świat zapomniał”.

Dlatego, że większość moich znajomych, którzy nie dożyli czterdziestki, nie rozumiała jednej prawidłowości. Żebyśmy my mogli stworzyć historię na podobieństwo tej z „My dzieci z dworca ZOO”, to ktoś musiałby

przeżyć. Ja byłem zbyt dużym tchórzem, żeby targnąć się na życie jednorazowo, uprawiałem politykę robienia tego na raty bez żyrantów, czyli narkomanii. Pojąłem tę prawdę, że umierając w rynsztoku, ta historia zostanie zamknięta kłamrą i nikt jej nie opowie i moja artystyczna wrażliwość pozwoliła mi zamieścić to w piosenki. Pewien rodzaj pragmatyzmu zdecydował o tym, że udało mi się przetrwać tę nawalnicę i wyjść na ludzi.

Lata 1990. to dla wielu lata świetności hip-hopu. Ty byłeś częścią tego świata.

Zalapałem się na tą falę popularności. Nie zasłużyłem na to... To było nowym postpunkowym medium, do wygłaszania rzeczy, które są prawdą ulicy i są mniej skorumpowane okolicznościami rynkowymi. Rzadko się zdarza, że muzyk robi karierę na tym, co by chciał, prawda? I hip-hop dawał taką możliwość. Jest bardzo wielu ludzi, dla których rozrywka była zbyt górnołotna i nie mogli sobie znaleźć miejsca w showbiznesie, ponieważ nie mieli tam swojego reprezentanta albo ktoś mówił zbyt kwiecicie. A każda grupa społeczna chce mieć swoich przedstawicieli. Nadeszła pora, żeby ktoś mówił otwarcie, wulgarnie i wprost między oczy. Byłem dla moich znajomych uosobieniem tego głosu.

Michał Kazulo
MUZYKA LEGENDARNA
czwartek 21:00,
niedziela 13:00



Pawilon Czterech Kopuł został wyposażony w system multimedialny. „Zobacz, usłysz, dotknij” to propozycja dla tych, którym tradycyjny odbiór sztuki nie wystarcza.

– Chodzi o to, by odbiorca nauczył się czegoś nowego, doświadczył innymi zmysła-

**ZOBACZ
USŁYSZ
DOTKNIJ**

mi niż tylko wzrokiem – mówi Iwona Bigos, kierowniczka Pawilonu Czterech Kopuł. – Gdy przychodzimy do muzeum, najczęściej tylko oglądamy albo czytamy dodatkowe informacje, tutaj staramy się wejść też w obszar słuchu, innego sposobu widzenia, poszerzając perspektywę optyki, no i mamy możliwość dotyku.

Specjalna ścieżka dźwiękowa nawiązuje do czasu, kiedy

powstały dzieła sztuki, a na przykład przy mutantach Magdaleny Abakanowicz słychać głosy natury. Przy wybranych pracach reliefy pomagają osobom niedowidzącym poczuć kształt dzieła, jego kompozycję, to, z jakiego materiału zostały wykonane. System kosztował 24 miliony złotych. Dźwięko-wizualny seans trwa prawie godzinę, współtworzyli go pracownicy muzeum i artyści.



foto: JACEK WITECKI



RADIO WROCLAW
zaprasza na koncerty do Sali Koncertowej
Radia Wrocław, ul. Karkonoska 10
Bilety w Radu Wrocław oraz: eventim.pl, ebiulet.pl i biuletin.pl

**Koncert urodzinowy
Radia RAM**

**Leszek Cichoński
José Torres
João de Sousa**

**8 grudnia 2019
godz. 19:00**

**Koncert kolęd
i pastorałek**

**Olga Bończyk
Alicja Majewska
Łukasz Zagrobelny
Włodzimierz Korcz**

**6 stycznia 2020
godz. 18:00**

KONCERT
DARIA ZAWIAŁOW
Helsinki tour
**7 marca 2020
godz. 19:00**

emocje

WYDAWCA: Radio Wrocław Kultura,
Polskie Radio Wrocław SA, Aleja Karkonoska 10,
53-015 Wrocław

Redaktor naczelny: Grzegorz Chojnowski
mail: kultura@radiowroclaw.pl,
telefon do studia: +48 71 78 02 320

Redaguje zespół, zastrzegamy sobie zmiany
w nadsyłanych materiałach.
druk: Drukarnia Taurus

NOBEL DLA OLGI TOKARCZUK!

Rok temu Olga Tokarczuk otrzymała prestiżową nagrodę Bookera, czym zbliżyła się do Nobla. Ale wtedy podchodziliśmy do takiej sytuacji z wielką ostrożnością. To ten rok był/jest rzeczywiście rokiem przełomu dla Olgi Tokarczuk, której literatura bardzo mocno zaistniała na tzw. Zachodzie. Ukazały się kolejne przekłady, w tym na te ważne z prestiżowego punktu widzenia języki, czyli angielski i francuski. Wydano po angielsku „Drive Your Plow Through the Bones of the Dead” (w tłumaczeniu Antonii Lloyd-Jones) – książka znalazła się na krótkiej liście kolejnej edycji Man Booker Prize. Po francusku wyszły „Księgi jakubowe” w przekładzie Maryli Laurent. Autorka i tłumaczka dostały Nagrodę Laure-Bataillon dla najlepszej książki obcojęzycznej przełożonej na francuski. I to chyba „Księgi...” przeważały. Bo w Sztokholmie już Olga Tokarczuk odbierała w 2016 roku Międzynarodową Nagrodę Literacką Kulturhuset Stadsteatern za „Księgi jakubowe” (tłumaczył Jan Henrik Swahn). Laudacja noblowskich jurorów wyraźnie do nich nawiązuje, nazwali je magnum opus autorki, wspominali o narracyjnej wyobraźni, encyklopedycznej pasji, przekraczaniu granic.

Trochę się tego Nobla spodziewaliśmy, dwie nagrody w jednym roku zwiększają prawdopodobieństwo przyznawanie literackiego wyróżnienia ze względu na skandale w łonie akademii noblowskiej). Myślałem nawet, że w związku z aferą spowodowaną molestowaniem seksualnym, Nobel powędruje w tym roku do dwóch pisarek. Tym większy sukces Olgi Tokarczuk, że odbierała gratulacje wspólnie z Peterem Handke. Dzieli ich różnica 20 lat, więc pokolenia. To jeszcze dołożymy do tych noblowskich wątków jeden: Handke – w latach 1990. dostał nagrodę im. Hauptmanna, czyli pisarza-noblisty urodzonego w Szczawnie-Zdroju. Literacka kotlina...

Wspaniale, że wygrała pisarka czynna, literacko młoda, która być może jeszcze swojej najlepszej książki nie napisała. Ważne jest też i to, że to piąty literacki Nobel dla Polski. Niezły wynik. Oprócz literackich mamy zaledwie trzy jako Polska. Dla porównania pisarze francuscy zdobyli 15 nagród, Amerykanie 11, Niemcy 8, Włosi 6, Rosjanie 4.



foto: TOMASZ GOLLA

Twórczość Olgi Tokarczuk to literatura, która wiele daje. Inspiruje do refleksji, ale też czyta się ją znakomicie. „Prowadź swój pług przez kości umarłych” to może nietypowy, ale kryminał ekologiczny, „Bieguni” to zbiór opowieści do czytania wszędzie, nawet w tramwaju czy w pokoju hotelowym, podobnie jak „Opowiadania bizardne” czy te z „Gry na wielu bębenkach”. Powieść „E.E.” dzieje się we Wrocławiu, na początku XX wieku, bohaterką jest piętnastolatka odkrywająca tajemnicze możliwości swojej osobowości, wchodząca w dorosłość. Książki Tokarczuk często opowiadają o tajemnicach, może to jest ich najciekawszy, najmocniej wciągający motyw. To proza momentami mistyczna, ale też zakorzeniona w rzeczywistości, podpowiadająca nam, by z natury, magii czerpać, nie zapominać o niej. Zatrzymać się, „Zgubiona dusza”, wydana przez wrocławskie Wydawnictwo Format, opowiada o zapracowanym mężczyźnie, który zgubił duszę, bo ta za nim nie nadążyła, za tempem, stylem życia, za spieszącym i powierchowym codziennym biegiem.

Moją ulubioną książką ciągle pozostaje „Dom dzienny, dom nocny”, gdzie przestrzeń zdarzeń jest Dolny Śląsk, Nowa Ruda, ale nie tylko. Pisze Olga: „Každy z nas ma dwa domy – jeden konkretny, umiejscowiony w czasie i w przestrzeni: drugi – nieskończony, bez adresu, bez szans na uwiecznienie w architektonicznych planach. W obu żyjemy jednocześnie”.

Ale przyhamujmy z ogólnoświatową popularnością i recepcją twórczości Tokarczuk po Noblu. Nobel pomaga, lecz pomyślmy o innych, zagranicznych noblistach, czy zaistnieli w Polsce w jakiś szeroki sposób. Nazwisko Bob Dylan wszystkim coś mówi, ale Jelinek, Fo, Le Clezio, Modiano? Może musi minąć ileś tam lat, żeby wejść do grona klasyków? No i pamiętajmy: Olga Tokarczuk przed Noblem była u bukmacherów typowana w absolutnym topie (1/8), a George R.R. Martin na samym końcu (1/250). W rankingach rynkowych jest odwrotnie. Ale bądźmy jak najlepszej myśli. Oldze Tokarczuk na pewno pomaga międzynarodowo i krajo-

trzy lata temu Ewelina Marciniak wystawiła „Księgi jakubowe”. Jest też nasza „Kotlina” we Wrocławskim Teatrze Współczesnym. Między innymi.

Odbierając Bookera w londyńskim Muzeum Wiktorii i Alberta, mówiła o swojej radości i podkreślała, że jest pierwszą laureatką tej nagrody pochodzącą z Polski. Ale zaraz dodała: literatura to zjawisko ponadnarodowe, cud pojawiający się to w jednym, to w innym języku. W wywiadzie dla Radia Wrocław Kultura dopowiedziała: Jestem polską autorką i głęboko w tym, co piszę, widzę mój polski background kulturowy, a z drugiej strony staram się pisać uniwersalnie i uważam się za Europejkę, obywatelkę świata. Ale też pracuję w takiej dziedzinie, w literaturze, która jest naprawdę podstawowym sposobem komunikacji człowieka. Jej zadaniem to przekraczanie granic, prostych różnic etnicznych czy kulturowych. Jeśli literatura wywołuje poruszenia serca czy intelektu kogoś z innej kultury, z innego języka, wtedy staje się czymś prawdziwym, namacalnym i uniwersalnym. W samej definicji literatury tkwi jej uniwersalność.

Pytałem Olę jakiś czas temu, czy coś nowego pisze, czy kolejna książka będzie powieścią. Odpowiedziała: Kto to wie? Ale przyznała, że pisze powieść, że się ta powieść rozwija, lecz nie była pewna, czy właśnie ona będzie tą następną książką w literackiej biografii: Nie cierpię na brak pomysłów – mówi, – ale bardziej kieruje mną wewnętrzny impuls. I za tym głosem idzie, by napisać coś, co domaga się napisania. Czekamy (nie)cierpliwie.

Książki Olgi Tokarczuk często opowiadają o tajemnicach, może to jest ich najciekawszy, najmocniej wciągający motyw.



foto: ANDRZEJ IOWCZAREK